

ODWIECZNE DZIECIĘTWO BOŻE

Jednym ze szczególnych „znaków czasu” w dobie obecnej są niewątpliwie Światowe Dni Młodzieży, organizowane z inicjatywy papieża Jana Pawła II przy jego czynnym w nich udziale. Pełną dokumentację VI. Światowego Dnia Młodzieży z Ojcem Świętym, który zaprosił młodzież z całego świata do Polski na Jasną Górę (sierpień 1991 roku), zawiera wydanie specjalne polskiej wersji „L'Osservatore Romano” (nr 8 z 1991 roku). Dokumenty z VIII. Światowego Dnia Młodzieży, który się odbył w Denver (USA) w sierpniu 1993 roku, podaje nr 11 tegoż czasopisma z 1993 roku. Swymi osobistymi wrażeniami z kolejnego takiego spotkania z Janem Pawłem II w Paryżu podzielił się jezuita G. Chantraine w artykule „Niezwyczajne dzieła Ducha Świętego” (w: „Duch Odnowiciel”, Kolekcja Communio 12, Poznań 1998, s. 7—23). W bieżącym roku kolejny Światowy Dzień Młodzieży, ale bez osobistego udziału Papieża, odbył się w sierpniu w obchodzącym już Wielki Jubileusz sanktuarium św. Jakuba Apostoła w Compostelli w Hiszpani. Tam właśnie arcybiskup Ljubljany Franc Rodé wygłosił 5 sierpnia konferencję, którą na wyraźne życzenie słoweńskiej redakcji Communio poniżej publikujemy, dostrzegając w niej swoisty przyczynek do omawianych właśnie znaków czasu.

Polska Redakcja Communio.

Droga Młodzieży!

Przybyliście tutaj, do Santiago de Compostella, z różnych krajów Europy, pokonując trasę, jaką przez całe wieki liczne pokolenia chrześcijan kroczyły przed wami. Jesteście nosicielami różnorodnych tradycji kulturalnych swoich ludów i narodów, wypowiadacie się także w wielu różnych językach. I jeżeli to wszystko tworzy jakieś bariery między wami, to przecież stanowi to również wielkie bogactwo naszego kontynentu.

Pomimo tej różnorodności kultur i języków, istnieje między wami głęboka jedność, mająca bardzo dawne i szlachetne korzenie: jest nią wiara chrześcijańska. Stanowi ona najbardziej cenne dziedzictwo, przekazywane sobie kolejno przez całe pokolenia ludzi wierzących. Bez niej tożsamość europejska byłaby całkowicie niezrozumiała. Albowiem właśnie w chrześcijaństwie tkwią

wspólne korzenie naszego kontynentu. To jemu zawdzięczamy naszą kulturę z jej dynamiką, z jej autentycznymi wartościami, które przyniosły tak wiele chwały dziejom Europy, czyniąc ponadto błogosławioną jej obecność na innych kontynentach, jak podkreślił to właśnie tutaj przed laty, bo 9 listopada 1982, Jan Paweł II, papież.

O tej wierze chciałbym wam dzisiaj coś powiedzieć, a zwłaszcza o jej znaczeniu dla życia każdego z nas, o tragedii, jaką stanowi jej zagubienie, i o radości, która nas przenika, kiedy ją ponownie odnaleźliśmy. Uczynię to, idąc duchową drogą wielkiego poety francuskiego XX wieku, który sam opisał swoje nawrócenie w jedynym tego rodzaju utworze w całej literaturze światowej¹. Powiem wam coś niecoś o Pawle Claudelu.

Paul Claudel urodził się w Paryżu w 1868 roku w rodzinie obojętnej religijnie i całkowicie obcej sprawom wiary. Do pierwszej komunii świętej przystąpił raczej ze względów społecznych, bo tak wypadało, aniżeli z autentycznego przekonania religijnego. Stała się ona dla niego, tak jak dla większości młodych chłopców, uwieńczeniem i kresem zarazem jego praktyk religijnych.

Podczas pobytu w liceum Claudel oddala się od wiary pod wpływem Renana i tej atmosfery nie-wiary, w jakiej się pogrąża. W tych latach triumfującego materializmu wszystko, co się liczyło w sztuce, w nauce i literaturze, było niereligijne. Większość wielkich ludzi XIX wieku wyróżniała się swoim wrogim nastawieniem do Kościoła. Mając 18 lat, Claudel wierzył w to, w co wierzyła większość ludzi wykształconych tego czasu, a mianowicie, że ten świat stanowi twarde, trudne do rozgryzienia, powiązanie przyczyn i skutków, które nauka już niebawem wyjaśni do końca. Wszystko to jednak wydawało mu się czymś bardzo smutnym i wprost niesamowitym. Dlatego też stan jego ducha można by określić jako swoiste zaczadzenie, a nawet i duszenie się, spowodowane brakiem nadziei.

I oto wydarza się coś, co zmieni radykalnie jego życie. Posłuchajmy jego samego:

„Takie było to nieszczęsne dziecko, które 25 grudnia 1886 roku poszło do katedry Notre-Dame w Paryżu, aby wziąć udział w li-

¹ Autor nie podaje tytułu tego dzieła. Nie sędzę, by to był *Dziennik* P. Claudela, gdyż w polskim jego niepełnym przekładzie (Wybór, przekład i słowo wstępne Juliana Rogozińskiego, Pax, Warszawa 1997) nie ma przytoczonego poniżej tekstu. Sędzę, że mogą to być *Mémoires improvisées*, czyli rozmowy radiowe, które P. Claudel przeprowadził w latach 1951—1952 z J. Amrouche, wydane potem w obszernym tomie. Por. tamże, s. 9. — Przepł. tłum., L.B.

turgii Bożego Narodzenia. Zaczynałem dopiero pisać i wydawało mi się, że w tych katolickich ceremoniach, traktowanych przeze mnie z najwyższym dyletantyzmem, dostrzegam istotny czynnik i samą treść kilku ginących już praktyk. W takim właśnie nastawieniu, potrącany i popychany przez tłum, uczestniczyłem z niewielkim raczej zadowoleniem w uroczystej sumie. Potem, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem na nieszpory. Ministranci w białych komżach i wychowankowie Małego Seminarium Saint-Nicolas-du-Chardonnet, którzy brali w nich oficjalnie udział, śpiewali coś, o czym dopiero później się dowiedziałem, że był to *Magnificat*. Stałem wciąż wśród tłumu w pobliżu pierwszego filaru od wejścia na chór po prawej stronie zakrystii. I wtedy dokonało się właśnie to wydarzenie, które zdominowało całe moje życie. W pewnej chwili moje serce zostało dotknięte i UWIERZYŁEM. Uwierzyłem z tak mocnym przyłgnięciem do wiary, z tak wielkim uniesieniem całego mojego jestestwa, z tak mocnym przeświadczeniem, z tak wielką pewnością, że nie pozostawiają już one żadnego miejsca na wątplenie, odtąd też wszystkie książki, wszelkie rozumowania, wszelkie wydarzenia rozdygotanego życia, nie były w stanie zniweczyć mej wiary, ani nawet, prawdę mówiąc, jej dotknąć czy naruszyć. Miałem od razu dogłębne i zniewalaające wprost poczucie niewinności, wiecznego dziecięctwa Bożego, niezatartego objawienia. Starając się, jak to często czynię, odtworzyć te minuty, jakie nastąpiły po tym tak niezwykłym wydarzeniu, odnajduję następujące elementy, które tworzyły jednak tylko jeden błysk, jedną błyskawicę, tę jedyną broń, jaką Boża Opatrzność się posłużyła, aby mnie dosięgnąć i otworzyć w końcu serce tego biednego zrozpaczonego dziecka: «Że ludzie, którzy wierzą, są szczęśliwi! — Ale czy to prawda? — Tak, to prawda! — Bóg istnieje, On jest tutaj. Jest to Ktoś, Byt tak osobowy, jak ja! — On mnie kocha, On mnie wzywa». Popłynęły łzy i łkania. a wzruszający śpiew *Adeste* dodawał jeszcze coś niewysłowionego do mego wzruszenia”.

Na tych stronicach z niesłychanym wprost obiektywizmem Claudel referuje to tak istotne wydarzenie w swoim życiu: poruszające aż do żywego spotkanie z Bogiem żywym. Całe dalsze jego życie będzie w swej istocie tylko rozwojem tego właśnie wydarzenia. Cała jego twórczość literacka ma swoje źródło w tej wierze katolickiej, którą on odkrył 25 grudnia 1886 roku, za co nie przestanie nigdy dziękować Bogu, wyrażając zarazem swój podziw i uznanie dla Jego niezwykłego działania.

Przykład Pawła Claudela uwidacznia nam rangę wiary w życiu ludzkim oraz następstwa, jakie pociąga za sobą jej zniknięcie.

Mieć wiarę, żyć życiem wiary, oznacza najpierw, że jestem w łączności z Niewidzialnym, w stałym kontakcie z Obecnością, która mnie chroni, osłania i zapewnia mi swoją miłość. Ta właśnie możliwość komunikowania się z Bogiem niesłychanie czystym, nieskończenie czułym i delikatnym, niesłychanie niewinnym, który mnie zna i miłuje miłością osobową, jest łaską, która nie ma ceny. Nie komunikujemy się nigdy z kimś innym tak, jak możemy łączyć się z Bogiem. W naszych odniesieniach do innych osób istnieje zawsze, chcąc czy nie chcąc, odrobina pozy. Wobec Boga jest to już niemożliwe. Przed Nim jesteśmy zobowiązani stawać takimi, jakimi jesteśmy, z odsłoniętą twarzą, w postawie całkowitej szczerości.

Ma to wielkie znaczenie dla życia duchowego, dla zdrowia psychicznego, dla osobistej autentyczności. W rzeczy samej, każdy głęboki kontakt z Bogiem żywym utwierdza mnie w prawdzie, umacnia mnie w mojej tożsamości i nadaje intensywność mojemu życiu.

I odwrotnie, kiedy unikam obecności Boga i zamykam się w ciasnych horyzontach tego świata, jestem jakby zablokowany wystawiony na pastwę lęków i niecierpliwości, w świecie zbulwersowanym całkowicie od góry aż do dołu. Posłuchajmy rasowego ateisty, Fryderyka Nietzschego, jak wyraża on swe własne, osobiste doświadczenie nieobecności Boga:

„Cóż uczyniliśmy, odpętuując ziemię od jej słońca, Dokąd zdąża teraz? Dokąd my zdążamy? Precz od wszystkich słońc? Nie spadamyż ustawicznie? I w tył, i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach. Jestże jeszcze jakieś na dole i w górze, Czyż nie błądzimy jakby w jakiejś nieskończonej nicości, Czyż nie owiewa nas pusty przestwór? Czy nie pozimniało? Czy nie nadchodzi ciągle noc i coraz więcej nocy? Nie trzebaż zapalać latarni w przedpołudnie?”²

Odniesienie do Boga jest istotne dla człowieka, a ten, kto nigdy nie klęka, kto nigdy nie błaga o przebaczenie, to nie wzywa nigdy pomocy, nie jest człowiekiem normalnym. Coś się w nim zablokowało: albo on sam zeszytniał w swej dumnej, wybujałej samowystarczalności, albo śni w letargu i staje się jednym z tych robotów, którymi manipulują mocni na tej ziemi.

To Bóg jest Gwarantem naszej wolności, to On nas chroni przed manipulowaniem, dając nam obietnicę wieczności — jak słusznie zauważa protestancki teolog niemiecki, Jürgen Moltmann:

² F. Nietzsche, *Wiedza radosna* (przeł. Leopold Staff), Warszawa 1906—1907, s. 168 (nr 125).

„Mechanizmy niepokoju i lęku podtrzymują zawsze przy słońcu. Wolność zaczyna się tam, gdzie znika nagle lęk. Idea, że wszystko kończy się wraz ze śmiercią i że w konsekwencji to życie, jakiegokolwiek by ono nie było, będzie wszystkim, stanowi bez wątpienia najbardziej solidny filar wszystkich ideologii władzy”³.

Daleka od tego, aby alienować człowieka — jak to głosili prorocy śmierci Boga: Feuerbach, Marks, Nietzsche, Freud i inni — wiara w Boga oraz żywa z Nim łączność pozwalają nam już na płaszczyźnie czysto ludzkiej i psychicznej zachować równowagę, dojrzałość i wewnętrzną pogodę ducha. Tak więc człowiek wierzący ma o wiele lepszą ochronę przed różnorodnymi zniewoleniami, jakie czyhają dzisiaj na ludzi ze strony różnych ośrodków władzy. Łatwiej stawia im opór, albowiem jego jądro osobowe jest bardziej trwałe i solidne.

Jest to bardzo logiczne. Przecież Pismo święte nam mówi, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Bóg jest Archetypem, człowiek zaś jego pochodną, jego obrazem w negatywie. Im bardziej zbliża się zatem do swego wzorca, tym bardziej jest sobą. Człowiek jest przeto z samej swej istoty ukierunkowany na Boga. Może powiedzieć „ja”, gdyż Bóg jest jego „Ty”, jego nieodzownym zwierciadłem, jego najbliższym i najbardziej bezpośrednim Rozmówcą. Albowiem człowiek nie jest rzeczywistością nieprzeźroczystą, zamkniętą w sobie samej, ale istnieje w samej swej istocie właśnie ze względu na spotkanie z Bogiem.

Rozumie się tym samym lepiej dramat ateisty. Odrzuca on fakt bycia obrazem, a chce być archetypem; odrzuca to, że jest bytem stworzonym, i chce mieć bytowanie sam z siebie. Następstwem takiej postawy jest to, że nie wie on już, kim jest, skąd pochodzi i dokąd zdąży. W takiej zaś sytuacji albo sam się uważa za absolut, co jest z gruntu fałszywe, albo też wyrzeka się, wyczerpany, swojego człowieczeństwa. W obu tych przypadkach zadamawia się w nim przerażająca pustka, on zaś popada w poczucie lęku. To właśnie stwierdził Julien Green w znanym swym *Dzienniku*, kiedy napisał: „Najbardziej wyraźnym owocem ateizmu jest rozpacz”⁴.

Nie-wiara jest straszliwą przygodą. Skoro bowiem wiara daje nam rację życia i ukazuje ostateczny cel naszej aktywności, to

³ J. Moltmann, *Le Seigneur de la danse. Essai sur la joie d'être libre*, Paris 1977, s. 33.

⁴ *La bouteille à mer*, Paris 1976, s. 182. Przekład polski J. Rogozińskiego: *Dziennik 1966—1976*, Warszawa 1982, cz. 2: *Butelka w morzu 1972—1976*, s. 161nn.

nie-wiara ukazuje absurdalność wszystkiego, co jest prawdziwą tragedią dla rozumu. Człowiek zostaje wówczas narażony na znużenie i zniechęcenie oraz wydany na pastwę instynktu, albo też sam przyjmuje postawę buntu wobec rzeczy i istnienia z poczuciem, że jest miażdżony jakąś olbrzymią bezduszną machiną. Życie osobiste i ogólno-ludzkie rozwija się w czasie pozbawionym sensu i znaczenia. Ludzie się rodzą i umierają, nie wiedząc, po co i w jakim celu, a najbardziej wymagający szukają jakiegoś wyjścia w tzw. wielkich sprawach: w postępie, w sztuce, rewolucji, w podbijaniu kosmosu. Kiedy jednak rozwiewają się te sny i marzenia, co pozostaje? Nic. Pustka. Taka jest wizja, jaka sama się narzuca światłemu ateście.

Ateizm jest więzieniem dla serca i rozumu. To „bagny materialistyczne”, jak mówi P. Claudel, pozbawia nas sensu i przyszłości. Natomiast wiara, przeciwnie, otwiera nas na nieskończone horyzonty, co ma kapitalne znaczenie dla człowieka. Albowiem człowiek jest z istoty swej podróżnikiem, wędrowcem, *homo viator*. Najgłębszym wymogiem jego bytu jest dążenie, kroczenie naprzód. O ile więc znajduje się na drodze do przebycia, a przyszłość odsłania się wciąż przed nim, jego duch jest zdrowy. I na odwrót: kiedy się znajduje wobec jakiegoś niepokonywalnego muru, który uniemożliwia mu kroczenie naprzód, staje się chory, zablokowany, zdany na rozpacz lub też zagrożony jakimś szaleństwem. Dla jego zdrowia psychicznego niezbędne są nieskończone przestrzenie. Tutaj bowiem człowiek nie godzi się na żadne ograniczenie, gdyż nieskończoność, jaką w sobie nosi, wymaga nieskończoności także poza sobą samym. Jak stwierdza F. Nietzsche, człowiek „chce wszelkich rzeczy wieczności — wieczności chce bez dna, bez dna”⁵.

Tą nieskończonością człowieka jest właśnie Bóg — ta jedyna jego możliwa nieskończoność. Ten jeden jedyny, który go chroni przed powszechną mocą śmierci. Żyć dla Boga lub żyć dla śmierci. Oto dylemat.

Przez niesłychany wprost dar wiary ustala się kontakt człowieka z Bogiem żywym. I to właśnie zmienia radykalnie całe życie ludzkie. „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamysłam co do was, zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakie oczekujecie” — mówi Pan przez proroka Jeremiasza (29, 11). Wraz z przyszłością daje nam On jednak teraźniejszość. W świetle wiary najzwyczajsze nawet wy-

⁵ Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo (przeł. Wacław Berent), Poznań 1995, s. 295.

darzenia życia codziennego nabierają innego blasku, albowiem ten nasz czas efemeryczny nosi już w sobie wymiar wieczności. Świat, który mógł być niszczycielski, staje się przejrzysty dla łaski. To, co niegdyś było wrogię, staje się przyjazne. Zło staje się doświadczeniem. Wszechświat się humanizuje, albowiem dostrzegamy w nim ślad jego Stwórcy. Oczywiście, wiara nie przenosi nas w jakiś świat idylliczny, gdyż skutki zła i grzechu są wszędzie widoczne, jednak wszystko nabiera sensu w perspektywie ostatecznego odkupienia obiecane go nam przez Pana.

* * *

To Bóg wzbudza wiarę w sercu „tych, których od wieków poznał; tych też przeznaczył na to, by się stali na wzór obrazu Jego Syna, aby On był pierworodnym między wielu braćmi. Tych zaś, których przeznaczył, tych też powołał, a których powołał — tych też usprawiedliwił” (Rz 8, 29-30).

Nawet „z kamieni Bóg może uczynić synów Abrahama” i w rzeczy samej tak postępuje; albowiem czym jest w gruncie rzeczy ludzkie serce wobec obudzenia się w nim życia Bożego? Łaska posługuje się jednak ludzkimi środkami. W przeszłości wiara budziła się przeważnie w kontakcie z wiarą rodziców, przyjaciół, wychowawców. Tak się rzecz miała w społecznościach tradycyjnie chrześcijańskich. Obecnie, niestety, rodzina i szkoła nie przekazują już wiary tak naturalnie i organicznie, jak dawniej. I dlatego Bóg wybiera inne drogi, jak na przykład nowe wspólnoty kościelne, szczególnie gorliwe, sztukę chrześcijańską jako wyraz tajemnicy, nosicielkę orędzia, które kroczy przez wieki i wyraża się w języku zawsze aktualnym, widok czynności liturgicznej, nacechowanej pięknem i głęboką treścią. W tych wszystkich przypadkach Bóg osiąga serca człowieka zawsze za pośrednictwem Kościoła.

Przykład Pawła Claudela jest w tym względzie bardzo typowy dla czasów nam współczesnych. Przecież podczas celebrowania niesporów w uroczystość Bożego Narodzenia 1886 roku odkrył on na nowo wiarę, a następnie stopniowo ją pogłębiał, uczestnicząc w obrzędach liturgicznych. Oto jego słowa:

„Nie znałem żadnego księdza. Nie miałem przyjaciela katolika. Studiowanie religii stało się głównym moim zainteresowaniem. (...) Chociaż byłem jeszcze daleki od sakramentów, brałem już udział w życiu Kościoła, nareszcie zacząłem prawdziwie oddychać, a życie wnikało we mnie wszelkimi porami. (...) Wielką Księgą, która się otwarła przede mną i z której pobierałem naukę, był

Kościół. Niech będzie pochwalona na wieki ta wielka Matka, tak majestatyczna w swej klęczącej postawie, od której wszystkiego się nauczyłem. Spędzałem wszystkie niedziele w katedrze Notre-Dame i udawałem się do niej możliwie często w tygodniu. Byłem wtedy tak wielkim ignorantem w sprawach mojej religii, jakim można być choćby w odniesieniu do buddyzmu, a to rozwijał się przede mną dramat sakralny z dostojnością i powagą, które przekraczały wszelkie moje wyobrażenia. Ach! nie był to już ten ubogi język ksiąg pobożnych! Była to najgłębsza i najwspanialsza poezja, bardzo dostojne gesty, jakich nie powierzono nigdy ludzkim istotom. Nie mogłem się oderwać od widoku mszy, a każdy ruch kapłana zapisywał się głęboko w moim umyśle i sercu. Lektura oficjum Zmarłych, oficjum Bożego Narodzenia, widok poszczególnych dni Wielkiego Tygodnia, wysublimowany śpiew *Exultet*, przy którym nawet najbardziej ujmujące akcenty Sofoklesa i Pindara wydawały mi się pozbawione smaku, wszystko to przepełniało mnie poczuciem szacunku, radości i wdzięczności, skruchy i uwielbienia!”

Kościół, lud Boży i wspólnota wiary, powstały z woli Chrystusa, zrodzony w dniu Pięćdziesiątnicy i zakotwiczony w historii, jest miejscem żywego i autentycznego słowa Bożego oraz źródłem łaski ofiarowanej ludzkości. Osobista wiara każdego człowieka uczestniczy w całości wiary Kościoła, który od teraźniejszości kieruje się w przeszłość, do wszystkich pokoleń osób wierzących, jakie nas poprzedziły w ciągu wieków — aż do wiary Apostołów. To on, ta płodna matka, rodzi nieustannie ludzi wierzących, przedkłada nam treść wiary i daje moc wierzenia. To w jego łonie i pod jego autorytetem wierzymy, mając zarazem tę pewność, że uczestniczymy w prawdzie samego Chrystusa.

Trwać w prawdzie Chrystusa, być członkiem Kościoła, który jest Jego ciałem, mieć pewność życia pod prawowitą władzą, albowiem Bóg Ojciec „kieruje Kościołem przez tych pasterzy, którzy prowadzą go obecnie w imię Jego Syna” — wszystko to jest źródłem szczęścia i radości. Oby przenikały one głęboko w nasze serca, dając nam siłę i światło, a także poczucie męstwa i dumy.

Tłum. ks. Lucjan Balter SAC